



M A R G O T A
K O T T

Ścigając wiatr



M A R G O T A

K O T T

Ścigając wiatr

*„Wiatr¹ wieje tam, gdzie chce, i szum jego słyszysz,
lecz nie wiesz, skąd przychodzi i dokąd podąża.”*

Biblia Tysiąclecia, Ewangelia św. Jana, J3,8

¹ W języku greckim wyraz *pneuma* oznacza wiatr i ducha, także Ducha Świętego.

Prolog

– Czy napisze pani tę książkę w moim imieniu?

Pisarka miała już na koncie kilka powieści, ale o zupełnie innym profilu. Nie wiedziała, czy tamtej spodoba się jej styl pisania i czy w ogóle znajdą wspólny język. Były tak różne. Do tego dzieliła je spora różnica wieku, która wynosiła ponad trzydzieści lat.

– Zastanowię się nad tym, pani Zofio. – Pisarka wolała się asekuruwać na wypadek gdyby tamta zrezygnowała albo znalazła kogoś innego.

Temat sam w sobie był ciekawy. Pani Zofia posiadała zdolności parapsychiczne. Posługiwała się wahadełkiem. Podobno rozmawiała też z duchami. I choć te tematy Pisarce nie były zbyt bliskie (czytywała kiedyś z ojcem nałogowo von Dänikena, ale to właściwie wszystko), brała pod uwagę możliwość współpracy.

– Czyli mam być kimś w rodzaju ghostwriterki? – upewniła się czy dobrze zrozumiała przekaz. Pani Zofia była zdezorientowana. Nigdy przedtem nie spotkała się z tym określeniem.

– To ktoś taki – tłumaczyła cierpliwie Pisarka – kto wysłuchuje zamawiającego, albo czasem korzysta z jego luźnych notatek i pomysłów, a potem spisuje wszystko przekształcając pomysł w prawdziwą literaturę.

- Aha. – Pani Zofia pokiwała głową. – Rozumiem.
- Pozostaje jeszcze ustalić pod jakim nazwiskiem książka zostanie wydana. Pisarz na zamówienie, czyli ghostwriter, praktycznie nie istnieje w przestrzeni literackiej. Jest duchem, pisarzem widmo. Stąd nazwa. On wywiązuje się jedynie z umowy, dostaje określoną sumę pieniędzy za napisanie książki, a zamawiający otrzymuje gotowy produkt. Potem się rozstają, wykonawszy wszystkie warunki transakcji. Ghostwriter całkowicie się wycofuje, nie rosząc sobie żadnych praw do rękopisu, a autor pomysłu szuka wydawnictwa lub wydaje książkę własnym sumptem. Cały splendor z jej napisania przypada jemu, zamawiającemu.
- Pani Zofia zmarszczyła czoło. Przez chwilę myślała intensywnie, przetwarzając wszystkie uzyskane informacje.
- To znaczy, że na okładce miałyby widnieć MOJE nazwisko? – W jej głosie słychać było przerażenie.
- Nie, może pani wymyślić dla siebie jakiś pseudonim.
- Pani Zofia znów się zamyśliła. Przez moment trwała w zawieszeniu. Wreszcie przerwała milczenie.
- Nie. Ja tak nie chcę – podsumowała zdecydowanie. – Czy jest możliwość, żeby to pani napisała i podpisała dzieło własnym nazwiskiem?
- Pseudonimem – uśmiechnęła się Pisarka, która w prywatnym życiu była zupełnie kimś innym.
- Może być i pseudonimem – westchnęła z ulgą starsza kobieta. – Grunt, żeby w tych opowieściach o duchach nikt mnie nie rozpoznał. Rozumie pani? Nie chcę, żeby wzięli mnie za wariatkę.

Pisarka rozumiała doskonale. Wciąż miała w pamięci własne rozterki. Lubiła pisać wprost, nie bała się drażliwych tematów. Wątki erotyczne także prowadziła śmiało i bezpruderyjnie. Nie wszystkim się to podobało. Napisać można wszystko. Tylko potem trzeba zmierzyć się z opinią ludzką i krytyką. Podczas spotkań z czytelnikami spoglądać im w oczy, tłumaczyć się, wstydzić. Dużo czasu zajęło jej oddzielenie własnego pisarstwa od życia prywatnego.

– Pani Zofio – podsumowała Pisarka. – Obiecuję, że nikt nawet się nie domyśli, że chodzi o panią. Wiem, nasze miasto nie jest duże. Zawsze można wpaść na osobę, która wie o nas rzeczy dziwne czy niepochlebne i nie zawaha się podzielić swoją wiedzą z innymi. Mimo wszystko wierzę, że uda się przejść przez cały ten proces bez uszczerbku.

Pani Zofia upiła łyk słabej herbatki. Jej serce, które wołało rozpaczliwie o wszczepienie rozrusznika, pracowało nieumiarowo i kobieta bała się, że może nie zdążyć z opowiedzeniem historii. A tak bardzo pragnęła podzielić się swoimi zdolnościami, wiedzą, wizjami. Darem. Bała się jedynie konfrontacji z prawdziwym światem. Światem, który z roku na rok stawał się miejscem coraz bardziej cynicznym, obcym, wyrachowanym, wyzutym z uczuć wyższych, pozbawionym przestrzeni dla niewypowiedzianego, eterycznego i ezoterycznego, wszystkiego, co wiąże się z tak zwaną duchowością.

– Czyli tak. – Pisarka zaczęła od razu planować zakres przyszłych obowiązków. – Pani opowiada o swoich przeżyciach, ja to spisuję, wymyślam stosowną fabułę, okraszamy to jeszcze jakimiś rysunkami, może fotografiami i pus-

czamy w świat. Wydajemy pod moim nazwiskiem, znaczy pseudonimem, pod którym napisałam poprzednie powieści. Tym razem literacki światek nie będzie mieć do czynienia z ghostwiterem, ale z prawdziwym duchem, który wprawi wszystko w ruch. Z panią. Duch pozostanie w cieniu, a na jaw wyjdą jedynie jego doznania i doświadczenia. Pisarka zaś postara się to wszystko dokładnie spisać. Z całą starannością i wrażliwością, na jaką tylko będzie ją stać.

Pani Zofia kiwnęła głową na zgodę. Pisarka uniosła rękę i na znak przypieczętowania umowy lekko musnęła pomarszczoną dłoń swojej rozmówczyni. Zapatrzyła się przy tym na srebrny pierścień z ogromnym, miodowym bursztynem. Na jedną małą chwilę, w momencie zetknięcia się skóry obu dłoni, zatrzymał się świat. A potem poczuła, jakby poraził ją prąd.

1

Niedomknięte drzwi

*„Na mgnienie powiek zmienił się świat.
Krople wzmocniły barwy.”*

Joanna T. Wrzeńska, „Początek”, wiersz XXXI

Odkąd sięgała pamięcią zawsze była inna. Różniła się od pozostałych dzieci. Nie zewnętrznie. Tak jak większość dziewczynek w jej wieku nosiła zaplecione warkocze i wełniane sukienki w szarych kolorach. Grała w klasy, skakała przez skakankę, bawiła się w chowanego. Miała kilka koleżanek w swoim wieku. Uczyła się przeciętnie. Mieszkała w małym miasteczku. Jednak była inna.

Miała dar.

Zanim jednak drzwi otworzyły się i trzasnęły z hukiem, odmieniając na zawsze jej los, dała się poznać jako niezwykle ruchliwe dziecko. Wszędzie jej było pełno. Lubiła psoć, wspinać się po drzewach, a nawet bić, gdy coś szło nie po jej myśli. Kolega z piaskownicy do dziś nosi na czole bliznę, pamiętkę tych dni.

– Naznaczyłaś mnie, jestem twój i nic na to nie poradzę – śmiał się pan Franciszek przy każdej okazji, kiedy przyjeżdżał na wakacje do starego kraju.

Zawsze z wielkim przejęciem powtarzał tę zabawną historię, a potem oboje śmiali się do rozpuku na samo jej wspomnienie. Pomimo upływu lat pozostawało żywe w ich pamięci. Chociaż pan Franciszek mieszkał już od lat samotnie w dalekiej Australii, tak naprawdę nigdy nie zapomniał o swej pierwszej miłości, Zosi. Tej, która z zazdrości o koleżankę pobiła Franka metalową łopatką. Dziewusze, która śmiała się z nim bawić, także dostało się niełicho. Dziś żadne z nich nawet nie pamiętało jej imienia.

Ciocie Wisie mała Zosia kochała bardziej niż własną matkę. Kobieta nie miała męża ani dzieci i była niezwykle piękna. Tak przynajmniej sądziła dziewczynka.

Wielkie niebieskie oczy zawsze były dla niej pełne uwagi i miłości. Ciocia Wisia potrafiła po prostu znaleźć dla Zosi czas, wymyślając dla swojej siostrzeniczki wciąż nowe rozrywki.

– Chciałabyś nauczyć się pływać? – zapytała, a dziecko z radości zaczęło podskakiwać do góry jak piłeczka.

Chwilę później jednak Zosia zmitygowała się i posmutniała:

– Cioteczko, ale w czym ja się będę kąpała? Nie mam przecież żadnego stroju.

– To nie kłopot – rzuciła wesoło ciocia Wisia. – Kupimy na miejscu, w kurorcie.

Zosia nie wiedziała co znaczy słowo kurort, ale wstydziła się zapytać.

Pojechały pociągiem. Dziewczynka uwielbiała wyprawy z ciocią nawet te małe, krótkie. Takie, jak na przykład spacery wzdłuż pięknej alei lipowej w ich małym, rodzinnym miasteczku. Dziś jednak wycieczka miała być dłuższa i dużo bardziej ekscytująca. Ciocia obiecała jej spacer po parku, lody i basen. Czyż mogła marzyć o czymś lepszym tego sierpniowego, upalnego dnia?

Zosieńka czuła się jak w bajce. Ogromne, zielone drzewa rzucały ażurowe cienie na ławeczki na których siadywali zmęczeni kuracjusze. W Pijalni Wód starsi ludzie popijali wody lecznicze z ceramicznych naczynek z dzióbkiem. Dla małej dziewczynki był to magiczny, nieznaną świat. Kolorowe, kwiatowe kobierce przyciągały mnóstwo motyli i pszczołek. Zosia nie mogła się napatrzyć. Po głównym deptaku spacerowali kuracjusze i turyści. Czas upływał wolno, rozkosznie. Zosia miała wrażenie, że jest ozdobną łyżeczką zanurzoną w złocistym miodzie. Było ciepło i miło. Idealnie. Podziwiała razem kwitnące krzewy, rzeźbione, drewniane zwieńczenia domów, ogrodzenia willi przez które zwieszały się zielone, ulistnione gałązki, obsypane nieznanymi kwiatami.

Zatrzymały się na dłużej przy budce z lemoniadą. Tak smacznej dziewczynka jeszcze w życiu nie piła. Cytrynowy smak musował jeszcze długo w nosie i na języku, pobudzając Zosieńkę do śmiechu. Przy cioci Wisi zawsze było jej

wesoło. Pragnęła zostać z nią tu na zawsze. Usiadły na małej ławeczce pod rozłożystym platanem. Ciocia opowiadała o historii tego miejsca, właściwościach leczniczej wody, sile czystego powietrza. Mówiła także o leczeniu różnych chorób, zakładach wodolecznictwa, balneoterapii i leczeniu błotem. Tego ostatniego Zosia nie mogła w ogóle zrozumieć.

– Jak to? – pytała cioteczkę. – Brudnym błotem nacierają ciało? I to na goło?

Wydało się jej to wstrętne, obrzydliwe.

Ci dorośli to czasem jednak są dziwni – stwierdziła Zosia w duchu.

– Ludzie dla zdrowia nie takie rzeczy potrafią zrobić. – Cioteczka jak gdyby czytała jej w myślach. – Trzeba się cieszyć i Bogu dziękować, że się jest młodym i zdrowym.

Zosia już nie słuchała, zaciekawiona kolejną atrakcją. Oto bowiem mężczyzna w szarej, popelinowej koszuli zachęcał przechodniów do zrobienia sobie pamiątkowego zdjęcia na tle landszaftu z napisem „Pozdrowienia z ...”. Zosia stała przez chwilę z rozdziawioną buzią i patrzyła na kolejne osoby, które podchodzą z tyłu i wkładają głowy w wycięte w desce otwory. Z zewnątrz wyglądało to strasznie śmiesznie, lecz Zosia dałaby wszystko, żeby ten miły pan i ją sfotografował razem z ciocią. Nie musiała wcale o to prosić. Ciocia Wisia już wcześniej miała w planie ten punkt programu. Zosia odruchowo poprawiła włosy, upięte tego dnia w dwie warkoczowe fasolki nad uszami, i uśmiechnęła się najpiękniej jak umiała. To nic, że widać było puste miejsce po mleczaku, który wypadł jej tydzień temu. Na co dzień

nie miewała takich rozrywek, teraz więc rozpierała ją radość. Ciocia zapłaciła fotografowi, podając adres na który ma wysłać zdjęcie. Jednego czego Zosia żałowała to to, że nie może od razu zobaczyć efektów. Za chwilę jednak zajęło ją coś innego, ponieważ ciocia Wisia oznajmiła radośnie:

– A teraz, moja mała, na basen!

– Hurrra! – zakrzyknęła dziewczynka, wykonując taneczne pas wokół latarni.

A, że droga jej się dłużyła, wyciągnęła skakankę i skandując ulubioną wyliczankę, zaczęła skakać.

Aniolek, fiolek, róża, bez.

Konwalia, balia, wściekły pies.

Jej nadmierna ruchliwość, o dziwo, nie drażniła ciotki. Mama zawsze wyrzekała, że wszędzie jej pełno i ciągle się gdzieś kręci pod nogami. Ciocia Wisia natomiast potrafiła jedynie rzucić grzecznie:

– Ta dziewczyna to żywe srebro!

I tyle. Nigdy na Zosię nie nakrzyczała.

Aniolek, fiolek...

Mała nóżka zaplątała się w skakankę i gdyby nie pomocna dłoń cioteczki dziewczynka leżałaby jak długa na trotuarze. Ciocia Wisia przezornie wzięła Zosię za rękę i dalej, już bez niebezpiecznych przypadków, doszły do bramy prowadzącej na basen. Jakież było zdziwienie cioci Wisi i jaka rozpacz Zosieńki! Akurat tego dnia basen był zamknięty.

Dziewczynka zaczęła płakać i tupać ze złości małymi nóżkami. Ciocia natomiast rozglądała się uważnie wyrażając wzrok.

Przecież takiego ważnego obiektu musi ktoś pilnować – pomyślała nie bez racji.

I rzeczywiście. Na szczycie schodów prowadzących do basenowych przebieralni pojawił się młody, przystojny mężczyzna. Z początku zakrzyknął w ich stronę jedynie:

– Dzisiaj zamknięte! Przyjdźcie jutro.

Jednak, gdy podszedł bliżej i spojrzał na ciotkę Wisię oczy mu się zaśmiały. A może była to raczej kwestia banknotu, który kobieta wsunęła pomiędzy metalowe pręśla ogrodzenia, kto wie? W każdym razie brama została otwarta, a ciekawe turystki wpuszczone do środka.

– Chciałabym siostrzenicy tylko pokazać basen. Przyjechaliśmy specjalnie pociągiem, z daleka – tłumaczyła panu pilnującemu terenu.

– Zasadniczo nie powinienem... – zająknął się, jakby spodziewał się, że kobieta dorzuci jeszcze jeden banknocik.

Ciocia Wisia jednak ani o tym myślała. Spojrzała na niego wnikliwie swoimi błękitnymi oczyma, aż ten zmiękł niczym tabliczka czekolady pozostawiona nieopatrznie na słońcu.

– Ja chcę tylko pokazać ten wspaniały basen małej dziewczynce. – Tu wskazała na Zosię, a ta wykonała najpiękniejszy dziewczynski dyg na jaki tylko było ją stać.

Na twarzy mężczyzny zagościł uśmiech.

– Zasadniczo to mogę... – Podrapał się po szyi, zmarszczył czoło, po czym rażno ruszył do przodu.

Kobieta z dzieckiem błyskawicznie podążyły za nim, żeby tylko nie zdążył się rozmyślić.

Kiedy wspięły się na sam szczyt schodów ich oczom ukazał się oszałamiający widok. Pośród zieleni starych lip i klonów jarzyły się wszystkimi możliwymi kolorami wykafelkowane baseny. Trzy. Jeden dla maluchów płytki, ze schodkami i poręczami. Drugi, największy, dla tych, którzy przeciętnie pływają, a tych jest zawsze najwięcej. No i ten najbardziej przyciągający wzrok, z niesamowicie wysoką budowlą, o niezliczonej ilości schodów prowadzących do góry.

Zosia chciała pobiec, od razu, tu i teraz, jednak czuła respekt przed tym mężczyzną. Czekala więc pokornie na pozwolenie cioci Wisi i tylko chłonęła te wszystkie cuda rozszerzonymi z zachwytu oczami. Nigdy dotąd w swoim niespełna sześcioletnim życiu nie widziała prawdziwego basenu. Czasem tylko zażywała latem kąpieli w metalowej balii, w ogrodzie. Ale balia to nie basen, a ten tutaj to był prawdziwy cud.

– Co to za wieża? – zapytała dziewczynka.

Zwróciła się jednak do cioci, bo do obcego pana nie wypadało. Ten jednak od razu odpowiedział, a w jego głosie zabrzmiała duma:

– To jest skocznia. Stąd skaczą na główkę do wody najlepsi pływacy. Sportowcy. Zasadniczo tacy, co nie boją się ryzyka.

Dziewczynka zadarła główkę do góry. Basen dla maluchów był najbardziej kolorowy. Zosia zauważyła rybki i muszelki, które w promieniach sierpniowego słońca pulsowały jak

żywe. Ją jednak najbardziej zafascynował ten drugi basen. Tym bardziej, że po jego dnie pełzały czerwone raki i jeszcze jakieś większe zwierzęta wodne ze szczypcami, których nazwy nie знаła. Wielkie ryby, o barwnych pasiastych bokach, zapraszająco falowały weloniastymi płetwami. Otwarte muszle, z błyszczącymi wewnątrz perłami, wabiły dziewczynkę bezpowrotnie. Obejrzała się za siebie. Ciocia Wisia stała niedaleko przebieralni i natrysków, rozmawiając z mężczyzną pilnującym basenu. Ich głowy znajdowały się coraz bliżej siebie, co Zosia zdążyła zauważyć przez tak krótki moment. Byli całkowicie zajęci sobą. Mama zawsze kładła jej do głowy, by nie przeszkadzać dorosłym.

– Dzieci powinny być jak ryby – mawiała przy każdej możliwej okazji. – Mają milczeć, kiedy starsi ze sobą rozmawiają.

Te słowa huczały jej w głowie, gdy przyglądała się rybkom i żabkom, odwzorowanym tak cudnie na lśniących kafelkach. Zapagnęła zobaczyć je z bliska. Podeszła ostrożnie do krawędzi słupka. Ukucnęła. Niestety, nadal nie widziała szczegółów. Pochyliła więc główkę do przodu, aż zatrzęsły się trwożnie dwa warkocze spięte w fasonki. Straciła równowagę. I tak, w ubraniu, poszybowała na samo dno. Woda nie rozprysła się na boki, nie zniwelowała uderzenia małego ciała. Basen był pusty. Tego dnia bowiem zaplanowane było chlorowanie i czyszczenie zbiorników. Wodę spuszczone.

Zosia nie usłyszała już przeraźliwego krzyku cioteczki Wisi, ani przekleństw, pomieszanych z wołaniem do Boga,

pana w czapce ratownika. Biegli ile sił w nogach, lecz nie mogli już cofnąć, ani na jotę, upływu czasu. Dziewczynka wpadła do pustego basenu. Skoczyła na główkę. Zamiast syren zwabiły ją morskie rybki i muszelki. Namalowane tak realistycznie i kunsztownie, jakby pluskały się w najprawdziwszej wodzie. I to zmyliło dziewczynkę.

Straciła przytomność, zalewając się krwią. Zemdląła. Nie odzyskała przytomności tego dnia, ani nawet następnego. Potem powiedziano rodzinie, że mała otarła się o śmierć. Wpadła w omdlenie, potem w śpiączkę, później nastąpiła śmierć kliniczna. Właściwie była już na krawędzi. Po Tamtej Stronie. Niewiele brakowało, żeby została tam na wieki. Nie mogli wiedzieć, że w snach zacznie po tym widywać zmarłych i rozmawiać z nimi podobnie, jak z żywymi. Nawet z takimi, których za życia nie znała. Od tego właśnie momentu drzwi pomiędzy światem żywych i umarłych pozostały dla niej już na zawsze niedomknięte.

Po tym wypadku ciocia Wisia już nigdy nie zabrała Zosi na żaden spacer. Nawet taki najkrótszy, wzdłuż alei lipowej w ich małym, rodzinnym miasteczku.